Gazeta dla Kobiet

Miesięcznik ilustrowany

Rok XXIX | Październik 1937 | Nr 10



WŚRÓD NIEBEZPIECZEŃSTW

Nie pomoże najlepsze wychowanie w rodzinie, nie pomoże ofiarna praca dobrych nauczycieli w katolickiej szkole, jeśli nie będziemy pamiętali o tym, że na wrażliwą duszę dziecka wywierają wpływ nietylko rodzice, nauczyciele, kapłan, ale i świat cały ze wszystkimi swymi niebezpieczeństwami.

ZŁA PRASA.

Jednym z największych nieprzyjaciół ludzkości a zwłaszcza młodzieży, jest zatrute słowo drukowane, które czy to w postaci książki, czy też czasopisma przenika do umysłów i serc. Jak walczyć z tą zarazą? Przede wszystkim za pomocą odpowiedniego **nadzoru. „W naszych jednak czasach,** pisze Ojciec św. w encyklice o chrześcijańskim wychowaniu, **„zachodzi potrzeba tym dalej sięgającego i tym pilniejszego nadzoru, im bardziej się mnożą dla niedoświadczonej młodzieży okazje moralnego i religijnego rozbicia, zwłaszcza przez bezbożne i sprośne pisma, które się zbrodniczo masami rozrzuca za bezcen".**

Wychowanie — to przede wszystkim ciągłe niezmordowane czuwanie. Mamy pilnie uważać, aby zła, niemoralna, niekatolicka książka, gazeta nie trafiła do rąk młodzieży. Nie wolno im takich czasopism prenumerować, kupować, należy unikać i niekorzystać z usług bibliotek, w których mogą być złe książki. W naszych katolickich organizacjach mamy biblioteki, korzystajmy z nich, mamy dobrą katolicką prasę, popierajmy ją, prenumerując, pomagając w rozpowszechnianiu.

Zła prasa może być skutecznie zwalczaną, wypartą tylko przez dobrą katolicką prasę, której wszyscy powinniśmy być gorliwymi apostołami.

„Wszelkiej pochwały i poparcia, pisze Ojciec Św. w tejże encyklice, **godni są ci, którzy czynią zabiegi, żeby dobre książki rozpowszechniano w szerokich masach ludności.**

ZŁE WIDOWISKA

Wielki wpływ na duszę wywiera teatr, który niestety dosyć często służy złej sprawie, wydrwiwa życie cnotliwe, podnieca zmysły. W uczęszczaniu na przedstawienia teatralne trzeba zachować najdalej idącą ostrożność. **„Trzeba,** przypomina Ojciec Św., **żeby urządzano przedstawienia teatralne prawdziwie wychowawcze".** Wychowawcze, czyli takie, które podnoszą człowieka na duchu, bronią zasad wiary, zwalczają zło, budzą zdrową, czystą radość, godziwą rozrywkę. W naszych katolickich stowarzyszeniach mężów, kobiet, młodzieży są urządzane dobre przedstawienia amatorskie. Popierajmy je, tym bardziej, że dochód idzie na dobre cele. Osiągamy tedy podwójną korzyść.

KINO I RADIO.

W czasach najnowszych powstały dwa potężne środki wychowawcze: kino i radio. Pisze o nich Ojciec Św.: **„Potężne te środki wszelakiej propagandy, gdyby się ich używało według zdrowych zasad, mogłyby olbrzymie oddać usługi sprawie oświaty i wychowania. Niestety jednak służą one często do podniecenia namiętności i do brudnego zysku.** Skutki tego zepsucia są straszne, zaświadczyć o tym mogą sędziowie, którzy niejednokrotnie stwierdzili, że zły film stał się dla wrażliwego dziecka prawdziwą szkołą zbrodni. **„Ileż jest dzisiaj młodzieży,** woła z bólem Ojciec Św., **nad którą muszą płakać nauczyciele i rodzice, bo ją zepsuły dzisiejsze widowiska i książki bezwstydne!"** Jak walczyć z tym zgorszeniem? Znów czuwać, nie pozwalać na oglądanie złych, niemoralnych filmów. Działając zgodnie z innymi rodzicami, chociażby za pomocą bojkotu, zmuszać właścicieli kinoteatrów do niewyświetlania złych obrazów. Zwracać się do Dyrekcyj radia jeśli stwierdzimy, że to co jest nadawane jest szkodliwe, niezgodne z zasadami katolickimi. A dlatego, aby głos rodziców zaważył, trzeba, aby wszyscy rodzice skupili się pod sztandarami Akcji Katolickiej. Jako zorganizowana siła społeczna będą mogli skutecznie zwalczać złe wpływy jak również poprzeć energicznie chwalebne zabiegi tych, którzy jak mówi Ojciec Św. **„nawet nakładem wielkich kosztów tu i owdzie stwarzają teatry i kina, od których nietylko cnocie chrześcijańskiej żadne nie grozi niebezpieczeństwo, lecz owszem wielki może przybyć pożytek".** Będzie to najlepsza walka ze złem.

WSPÓŁWŁAŚCICIELE ŚWIATA.

Zarzucają nam katolikom, że rzekomo głosimy hasła ucieczki od świata, że nie chcemy korzystać ze zdobyczy cywilizacji. Tłumaczą nam, że nikt od złego nie ucieknie, że trzeba żyć z ludźmi i t. p. Zna ten zarzut Ojciec chrześcijaństwa i tak nań w omawianej encyklice odpowiada. **„Jeżeli powiedzieliśmy, że trzeba wykonywać nadzór nad młodzieżą i czuwać nad nią, to nie znaczyło, jakobyśmy się domagali, żeby młodzież trzymano z dala od społeczeństwa, w którym ona przecież będzie musiała żyć i zbawić duszę swoją. Nie. Domagamy się ty.ko, żeby — szczególnie dzisiaj —**

młodzież uzbrajano i po chrześcijańsku zabezpieczano przeciwko pokusom i ułudom świata".

W świecie jest dobro i zło. Pan Bóg chce, abyśmy byli Jego współpracownikami w budowaniu nowego, lepszego ładu. Jeśli staniemy po stronie zła, jeśli źle wychowamy młodzież to ten świat będzie się stawał z każdym rokiem coraz gorszym, będzie na nim coraz więcej niedoli. My katolicy jesteśmy „współwłaścicielami" świata czyli jesteśmy za jego losy odpowiedzialni. A przede wszystkim jesteśmy odpowiedzialni za tę cząstkę świata, którą nazywamy **Polską**, której jesteśmy **współobywatelami.**

Jeśli chcemy, aby ta Polska była lepszą, doskonalszą, szczęśliwą, trzeba aby młodzież nasza była dobra, stała się współpracownikiem Boga.

„Chodzi o to, woła Ojciec Św. Pius XI, **żeby młodzież nasza była taka, jakimi wedle słów Tertuliana byli pierwsi chrześcijanie i jakimi powinni być chrześcijanie zawsze i wszędzie, czyli „współwłaścicielami świata, ale nie błędu."** K. J.

KU ROZWADZE

Wiadomo, iż w pewnych domach ludzie czują się niedobrze — że stale w nich zapadają na różne choroby i doznają dolegliwości, na które nie znajdują sposobu i rady. Nie tylko ludzie zresztą chorują w pewnych budynkach — ale i zwierzęta i drób nawet nie chowają się szczęśliwie w różnych przeznaczonych dla nich chlewach i zdychają często, mimo starannej opieki, dobrej paszy i czystości. Raz po raz stwierdzono po czasie, że owe nieszczęsne budynki postawiono na miejscach, gdzie w niewielkiej głębokości znajdowała się woda — i ta właśnie tak zgubnie działała na stan zdrowia mieszkających w tych budynkach istot.

Dziś, gdy tylu wśród nas umie obchodzić się różdżką, dającą możność stwierdzenia, iż pod ziemią znajduje się woda — nie powinno się stawiać domów, nie zbadawszy wpierw dokładnie miejsca budowlanego. Dlaczego ludzie tego nie czynią? Czy nie wiedzą nic o tym sposobie wykrywania wody, czy nie wierzą, czy obawiają się narazić na drwiny? Czy troska o zdrowie nie powinna być bodźcem dostatecznym do zapoznania jak największej ilości ludzi z zagadnieniem tak doniosłym?

A ileż to ludzi chcąc mieć własną studnię na zakupionej parceli — kopie na chybił trafił i wydaje nieraz dużo pieniędzy zanim natrafi na wodę — a nie pomyśli nawet, że polecając komuś za pomocą różdżki zbadać teren oszczędziłoby sobie kosztów i trudu. Warto i samemu zresztą się przekonać czy różdżka nie zacznie giąć się w naszych rękach, gdy ująwszy ją prawidłowo przejdziemy teren w różnych kierunkach. Nie żadne to cuda przecież. Bierze się rozwidloną gałązkę leszczyny, wierzby, lipy czy topoli grubości ołówka — ściętą za rozwidleniem. Widełki takie długości półmetrowej chwyta się silnie od wewnątrz opierając łokcie rąk obu na biodrach i postępuje wolno naprzód. Jeśli posiadamy własności potrzebne — różdżka w miejscu, gdzie pod ziemią natrafimy na wodę, zacznie się chylić ku ziemi tym gwałtowniej, im większą jest nasza zdolność wyczuwania wody. — Czy to nie warto spróbować? Byłam świadkiem takich doświadczeń kilkakrotnych i naocznie się przekonałam jak różdżka tak gwałtownie gięła się ku ziemi w pewnych miejscach, iż silnie trzymana skręciła się i złamała. A stały w tym miejscu kurnik i świniarnia, w których zaprzestano chować inwentarz, gdyż zdychał bez widocznego powodu. Podając tę sprawę pod rozwagę Czytelniczek przytaczam ustęp z powieści Zane Prey p. t. Krwawe pogranicze — str. 10.

„Cameron kopał głęboko w piasku. Bez skutku. Był znużony, lecz nie było innej rady jak zawrócić do ostatniej wody. Ale stary kazał mu zaczekać i poszukawszy w jukach swoich wydobył z nich niewielką rozwidloną gałązkę brzoskwiniową. Trzymając ją przed sobą za rozwidlenie, zaczął iść łożyskiem strumienia. Cameron szedł obok, początkowo rozśmieszony, potem zdumiony, potem zdjęty litością a wreszcie zaintrygowany. Napięstki starego natężyły się jak w wielkim wysiłku. Koniec gałązki jął drgać i wykręcać się. Cameron dotknął jej i zdumiał się poczuwszy potężną, wibrującą siłę ciągnącą gałązkę ku dołowi. Doznał magnetycznego wstrząsu. Gałązka zwracała się ku ziemi, wreszcie przybrała położenie pionowe.

— Kopcie tutaj — rzekł stary poszukiwacz złota.

— Co? — wykrzyknął Cameron, obawiając się, że stary oszalał.

Stary wziął się sam do kopania. Dokopał się do cztetech ,pięciu stóp... Piasek pociemniał i wilgotniał. Na głębokości sześciu stóp pokazała się woda.

— Podajcie mi koszyk. Jest w moich jukach — rozkazał stary.

Cameron posłuchał. Niewielki koszyk wpuszczony na dno dołu powstrzymał osypywanie się piasku, a sam nepełnił się wodą. Cameron patrzył — patrzył. Widywał w pustyni dziwne rzeczy, ale coś podobnego jeszcze mu się nie przydarzyło. Wziął gałązkę i przytrzymał tak jak towarzysz. Ale w jego ręku pozostała nieruchoma.

— Widzę, że tego nie macie — zauważył stary. — Ale rzadko kto to ma.

— Czego nie mam? — spytał Cameron.

— Daru znajdowania wody. Znałem w Ilinois starego Niemca, który wykrywał w ten sposób źródła. Od niego dowiedziałem się, że i ja mam tę władzę. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Co się tak dziwicie? Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego.

— Jak to, więc, to taka zwyczajna rzecz, że niektórzy ludzie mają siłę czy władzę znajdowania wody, jak wy?

— A jakże. Na farmach w Illinois, w Ohio, w Pensylwanii nietrudno spotkać takich różdżkarzy.

— Co to za błogosławieństwo na pustyni!

Str. 19. Na każdym naniesisku Warren szukał wody przy pomocy swej rozwidlonej gałązki. Znajdował zawsze — ale była za głęboko. W końcu udało im się znaleźć wodę tak, że ugasili pragnienie, napełnili manierki i ugotowali posiłek".

Spodziewam się, że słowa moje pobudzą szerokie echo — i że z wiosną, gdy ruch budowlany się ożywi żadna wśród Czytelniczek „Gazety dla Kobiet", nie pozwoli na budowę domu, ani na kopanie studni, nie poradziwszy się wpierw znajomego „różdżkarza". Czyby to nie mogło być nawet intratnym zajęciem dla odpowiednio obdarzonych przez Boga osobników — którzy by przyrodzone własności swe ćwiczeniem specjalnym doprowadzili do należytej doskonałości? *Teresa Panieńska.*

BŁOGOSŁAWIENI MIŁOSIERNI

Gdy modląc się, wspominamy nieraz i uwielbiamy w skupieniu przymioty Boże, to, chociaż wiemy, że Bóg je wszystkie posiada w stopniu najwyższym, doskonałym, jednak przymiotem, który nas najbardziej może zachwyca i do którego się najczęściej odwołujemy — jest dobroć Boża i z niej płynące nieograniczone miłosierdzie. Modlitwy nasze są przecież nieustającym wołaniem: Panie, zmiłuj się nad nami! Mój Jezu, miłosierdzia!...

Trzeba przyznać, że ten sam przymiot najbardziej zachwyca nas i u ludzi i najmocniej do nich przywiązuje: jako najwyższą o kimś pochwałę zwykle mówimy: to człowiek „ludzki", to kobieta, co ma dobre, miłosierne serce. Każda z nas spotykała nieraz tych wyjątkowych ludzi, u których miłosierdzie jest cnotą wrodzoną, tych, co naturalnie, bez żadnego przymusu ani wysiłku są dla każdego dobrzy i życzliwi, co śpieszą każdemu z pomocą, choćby ich to mnóstwo trudu i poświęcenia miało kosztować. Taki z gruntu dobry człowiek, wszelkiemu cierpieniu i biedzie szczerze współczujący — to ideał miłosiernego chrześcijanina. Niekoniecznie potrzebuje on być bogatym, aby bliźnim dobrze czynić, ma bowiem skarb w sercu swoim i czerpie zeń bezustannie. Człowiek taki jest przy tym prawdziwie szczęśliwy; radości tej i szczęścia nie zazna nigdy ten, co daje oschle, obojętnie — serca wraz z jałmużną lub z pomocą drugim nie udzielając. Człowiek naturalnie miłosierny najlepiej urzeczywistnia plan Boży co do siebie, gdyż stworzony został do życia nie w samolubnym odosobieniu, lecz w gromadzie, w społeczeństwie. Na wszelki sposób nakazuje nam Bóg i zachęca, abyśmy nie zasklepiali się w sobie, ale się „społecznie miłowali". Wreszcie — miłosierny człowiek — to najlepszy apostoł Boży, gdyż daje drugim pojąć, jak musi być miłosiernym Pan, jeżeli sługa Jego tak delikatnie, tak subtelnie odczuć potrafi ich cierpienie! Czyni to chrześcijanin bez słów wymownych, bez upokarzających uwag, skromnie i poprostu.

Niestety jednak, są to nieliczne wyjątki, z natury obdarzone jakby talentem współczucia i miłosierdzia; poza tym, wiemy dobrze, że natura ludzka pociąga nas raczej do sobkostwa (egoizmu), do dbania wyłącznie o swoje sprawy, z zaniedbaniem interesów bliźnich. Dlatego jednym z pierwszych nakazów, które powinien dać sobie chrześcijanin (chrześcijanka), — będzie uznanie miłosierdzia względem drugich za obowiązek, wynikający z wiary, i usilne zwalczanie w sobie samolubnych popędów.

Dziedzina cierpień i nędzy ludzkiej jest olbrzymia i każda z nas przy dobrej woli co dzień znaleźć może sposobność udzielenia pomocy materialnej czy moralnej. Jednakowoż dobre swoje uczynki musimy świadomie ująć w pewien plan i wiedzieć, jak najlepiej postąpić, aby to się zgadzało z rozsądkiem i poczuciem sprawiedliwości. Miłosierdzie chrześcijańskie musi bowiem być rozsądne i sprawiedliwe.

O ile nie zagłuszamy serca swego i umyślnie nie krępujemy go samolubnymi względami, wskaże nam ono, czym możemy pomóc bliźnim i to najlepiej w swym najbliższym otoczeniu: w rodzinie bliższej i dalszej, w sąsiedztwie, w środowisku pracy. Wobec tych właśnie ludzi, wśród których nas Bóg postawił i wśród których żyjemy, mamy najsłuszniejszy obowiązek świadczenia miłosierdzia co do ciała jak i duszy, a więc powinnyśmy nietylko chorymi się opiekować, głodnych czy ubogich wesprzeć albo przygarnąć, ale i smutnych pocieszać, błądzących nawracać, modlić się za tych, co źle czynią. Słowem, mamy — idąc za wzorem Chrystusa — starać się być „wszystkim dla wszystkich", mamy rozszerzyć swe pojęcie miłosierdzia w myśl tego, jak je rozumiał Chrystus Pan, nie zacieśniając go do jednej jakiejś grupy osób lub jednego stanu; w każdym człowieku widzieć mamy brata, starając się życzliwie i cierpliwie wniknąć w to, co go boli. Niedostatek, krzywdę cudzą lub smutek starajmy się odczuć, jakoby to nas same spotykało, siebie stawiając na miejscu cierpiącego bliźniego; wtedy dopiero potrafimy prawdziwie dopomóc i ulżyć drugim.

Są to ogólne zasady, dotyczące świadczenia miłosierdzia. Nie poruszono tu jednak dotąd naszego stosunku do żebrzących, których w obecnych czasach w kraju naszym możemy podzielić na bezrobotnych i żebraków oraz włóczęgów. Bezrobocie jest wielką klęską, która w ostatnich latach nawiedziła świat cały i Polskę. Bezrobotni zasługują zatem na nasze najżywsze współczucie i pomoc, są bowiem najczęściej ludźmi, bez swej winy pokrzywdzonymi przez kryzys ekonomiczny, ludźmi, którzy mogą i chcą uczciwie pracować na chleb, lecz wskutek trudnych warunków pracy nie znajdują. Sa oni też często bezdomnymi, więc jeśli nie zagłuszymy sumienia, to na pewno podszepnie nam ono, że powinnyśmy im dopomagać, chociaż nawet same mamy mało, gdyż są to bracia niezmiernie nieszczęśliwi, staczający się nieraz na dno nędzy i upadku, bez własnej winy. Poza doraźną pomocą: nakarmieniem i odzianiem bezrobotnego, najlepszym sposobem poratowania go jest danie mu pracy, o ile to tylko możliwe. Jałmużna bowiem, nietylko upokarza człowieka, lecz i demoralizuje, to znaczy, że oducza od samodzielnego zarobkowania, sprzyja rozleniwieniu i złym skłonnościom. Dlatego dawajmy pracę, wszelkie choćby drobne roboty i naprawy, by nie dopuścić do bezrobocia lub zapobiegać mu.

Niejedna z nas uważa, być może, danie jałmużny ubogiemu, jako jedyny sposób okazania miłosierdzia. Tymczasem dajemy nieraz ów grosz żebrakowi na odczepnego, dlatego tylko, że widok nędzy jego lub kalectwa wzruszył nas na jedną chwilę; czasem widok biedy drażni nas, więc rzucamy jałmużnę, chcąc się przed sobą usprawiedliwić i zaspokoić własne sumienie. Nie można nazwać tego miłosierdziem sprawiedliwym ani rozumnym. Ponieważ nie zawsze wiemy, czy proszący nas o jałmużnę jest rzeczywiście potrzebującym i biednym, czy też wyzyskuje on nas i zebranej jałmużny użyje może na pijatykę — dlatego rozsądniej bywa, poza wyjątkowemi wypadkami, **wpłacać stale pewną sumę miesięcznie do dobroczynnych towarzystw miejskich czy parafialnych,** bo te przez swoich członków odwiedzają ubogich w mieszkaniach, sprawdzają ich stan zamożności i mogą słuszniej rozdzielać zasiłki, odzież i żywność. Inaczej najwięcej dostaną ci tylko, co najgłośniej wołają, prawdziwa zaś, skromna i cicha nędza zostanie pokrzywdzona. Wielką zasługę mają także zamożni ludzie, którzy pamiętają o sierotach, wdowach i starcach, fundując dla nich przytułki i otaczając opieką. Tak samo gminy i parafie powinny dbać o zaopatrzenie swych ubogich. Są kraje jak np. Szwajcaria, gdzie nie ma żebraków, ponieważ każda gmina zajmuje się swymi ubogimi i odpowiednio ich umieszcza, włóczęgów zaś i niepoprawnych natrętów karze.

Najlepiej według zasad Chrystusowych rozwiązał sprawę pomocy ubogim brat Albert Chmielowski z Krakowa, który zajął się domami noclegowymi w ten sposób, że osobiście tam zamieszkał, dbając zarówno o ciała jak i o dusze ubogich. Założył on zakon wspomagania ubogich (Albertyni). Każda z nas jednak

w swojem kółku i na swój sposób rozwiąże tę palącą sprawę, jeśli nie będzie zatwardzać swego serca i zechce pojąć, czego żąda od niej Chrystus Pan w swych przypowieściach i naukach i co jej obiecuje w słowach: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią".

Fidelis.

DZIECKO GŁUCHONIEME

Kalectwem głuchoniemoty dotknięte są setki tysięcy istot ludzkich. W samej Polsce liczba ich wynosi przeszło 40 tysięcy.

Głuchoniemego nie spotyka tyle współczucia co niewidomego; jego kalectwo bowiem nie zwraca tyle serdecznej uwagi na siebie co brak wzroku lub też kończyń. Ludzie przyglądają się głuchoniememu nawet z pewną ciekawością, zwłaszcza gdy widzą go rozmawiającego na migi, których nie rozumieją. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że głuchoniemota jest bardzo ciężkim kalectwem, które utrudnia nie tylko walkę z życiem, ale które wywiera duży i osobliwy wpływ na usposobienie.



Budujemy dom i uczymy się mówić.
(Śląski Zakład dla Głuchoniemych w Lublińcu.)

Już od najwcześniejszego dzieciństwa dziecko głuchonieme — nawet wśród gwaru ludzi — jest samotne. Nie słysząc ani w domu, ani na ulicy wyrazów i dźwięków nie nauczy się mówić. Samo tworzy sobie pojęcie i wyobrażenia o otaczającym go świecie i często wyobraża go sobie błędnie. Ponieważ jednak nie porozumiewa się, nie można jego pojęć sprostować. W wielu wypadkach rodzice stoją bezradni wobec swego nieszczęśliwego dziecka, nie umiejąc mu wiele rzeczy wytłumaczyć, nie umieją go zainteresować. Dziecko głuchonieme patrzy zawsze swymi pytającymi oczami na rodziców i po części ich nie rozumie. W końcu i najcierpliwsza matka się zniechęci i pozostawi dziecko — własnemu losowi. Ograniczy mu tylko jeszcze swobodę ruchu, nie pozwoli się bawić przed domem, ani w ogrodzie z obawy, by je nieszczęście nie spotkało.

A gdy nadejdzie wiek szkolny, gdy inne dzieci z radością lub tylko z zainteresowaniem pobiegną do szkoły, wtenczas boleśniej jeszcze odczuje matka niedolę dziecka głuchego, zapytując z troską „czym ono będzie?"

Rodzice nie mają czasu, ani nie wiedzą jak dziecko głuche nauczyć mówić, a cóż dopiero wpoić mu różne nauki ogólne i zawodowe. To ciężkie zadanie biorą na siebie szkoły specjalne i zakłady dla głuchoniemych, gdzie trzeba oddać dziecko gdy ono przekroczy 7 rok życia.

Zdarzają się wypadki, że rodzice zjawiają się z dorosłym głuchoniemym do zakładu, gdy zachodzi potrzeba przygotowania do Sakramentów św. Nie zdają sobie sprawy z tego, że krótki pobyt w zakładzie żadnej korzyści dać mu nie może. Nie podobna bowiem — nawet nauczycielowi głuchoniemych — od razu porozumieć się z niesłyszącym.

Co innego gdy dziecko od jakiegoś 7 roku uczy się „odczytywać" wyrazy z ust mówiącego i samo uczy się mówić. Nie następuje to od razu po przybyciu do zakładu. Dzieci, które przeważnie nie opuszczały domu — cichej wioski — małego miasteczka są po części bojaźliwe i onieśmielone, siedzą cicho na wyznaczonym miejscu. Rzadziej trafią się dzieci ciekawe, które muszą w każdy kąt zaglądnąć i wszystkiego się dotknąć. Jedne i drugie tęsknią i płaczą za domem. Ale tylko kilka dni. Zabawy, wycieczki, modelowanie, rysowanie, obrazki, kino zakładowe pochłaniają w krótkim czasie uwagę i myśli dzieci. Później po pewnym czasie budzi się u dziecka chęć do mówienia i wtenczas następuje nauka mówienia. Głuchoniemy odczytuje mowę z ust.

W Polsce mamy szereg szkół dla głuchoniemych, mianowicie w Warszawie, we Lwowie, w Poznaniu, w Wejherowie na Pomorzu, w Łodzi, w Krakowie, w Wilnie. Do najbardziej nowocześnie urządzonych zakładów należy Śląski Zakład dla Głuchoniemych w Lublińcu. Pod względem administracyjnym szkoły dla głuchoniemych są państwowe, samorządowe i prywatne.

Szkoła zakładowa w Lublińcu ma charakter siedmioklasowej powszechnej szkoły dla głuchoniemych z językiem wykładowym polskim. Głuchoniemi opuszczając po 8 latach szkołę umieją pisać, czytać, mniej lub więcej wyraźnie mówić — mają w ręku zawód lub przygotowanie do zawodu. W programie nauki włączone jest bowiem przysposobienie zawodowe. Podstawowe wiadomości zawodowe otrzymują chłopcy w warsztatach zakładowych, gdzie zaznajamiają się z obróbką drzewa, skóry, tkanin, papieru, tektury, żelaza, blachy i szkła.

Dziewczęta przechodzą kurs szycia, uczą się gotować, prasować i sprzątać. O ile nie wychodzą za mąż zarabiają jako krawcowe, szwaczki, hafciarki, modystki, służące i praczki.

Gdy inne dzieci uczyć się zaczynają, nie trzeba płakać nad biednym kaleką — głuchym. Powinien i on pójść do stosownej dla siebie szkoły. Wyrosnąć może na samodzielnego, dobrego obywatela, a nawet dzielnego syna Ojczyzny. Podczas obrony Lwowa bili się za wolność Ojczyzny razem z orlętami lwowskimi także ochotnicy głuchoniemi. Kornel Makuszyński o tym patriotycznym czynie młodzieży głuchoniemej pisze:

„Oto czasem padali żołnierze, co bez głosu szli w bój i bez głosu umierali, śmiercią zacięcie niemą. Takich żołnierzy nie widziała nawet ona — śmierć. To byli lwowscy głuchoniemi".

(Podł. I Roczn. Śląskiego Zakładu dla Głuchoniemych w Lublińcu.)



Harcerki głuchonieme i „Kubuś".
(Śląski Zakład dla Głuchoniemych w Lublińcu.)

SZKOŁA WOŁA RODZICÓW

(Garść uwag o kołach rodzicielskich.)

Gwarno się stało znowu w szkołach; dzień w dzień spieszą długie szeregi dziatwy do swych zajęć i dzień w dzień obijają się echa szkoły o dom rodzicielski... szkoła tego żąda, tamtego zakazuje, jedno gorąco poleca, przed drugim surowo przestrzega — a we wszystkim woła do rodziców: Pomóżcie nam wychować wasze własne dzieci!

OGÓLNE CELE KOŁA RODZICIELSKIEGO.

Szkoła dzisiejsza, silniej niż kiedykolwiek podkreśla w swych zadaniach nie tylko naukę ale przede wszystkim wychowanie młodzieży. Nic więc dziwnego, że zwraca się do rodziców z prośbą i gorącą zachętą do współpracy. W tym celu istnieją już od szeregu lat przy każdej szkole specjalne stowarzyszenia rodziców, noszące nazwę: „Opieka rodzicielska" lub „Koło Rodzicielskie". O istnieniu kół wiedzą zapewne wszyscy rodzice, chociażby dlatego, że „znowu płacić trzeba składkę do koła". I właśnie ta składka jest przyczyną, dla której wielu rodziców nie zapisuje się wcale do kół rodzicielskich. Wielu sądzi, że na płaceniu składki zasadza się całe istnienie kół i że regularne płacenie jej jest już spełnieniem obowiązków członka koła.

Celem według słów statutu jest *„współpraca ze szkołą w sprawach dotyczących pomocy dziatwy szkolnej przy nauczaniu i wychowaniu oraz troska o dobro dzieci, zwłaszcza o umożliwienie jej pod każdym względem należytego spełnienia obowiązku szkolnego"*.

CZYNNOŚCI KOŁA RODZICIELSKIEGO.

I. Najbardziej znaną jest *pomoc materialna, jakiej koła udzielają na rzecz dzieci danej szkoły.* A więc zaopatrują ubogą dziatwę w podręczniki szkolne, zeszyty, odzież, w szkołach średnich opłacają nawet nieraz czesne za to lub owo dziecko biedne, o ile zachowaniem i zdolnościami swymi zasługuje na poparcie — albo też udzielają rodzicom takich dzieci pożyczek na opłatę czesnego, po czym rodzice miesięcznie mniejsze sumy odpłacają. Dalej koła organizują tzw. „dożywianie" w szkole, czyli członkinie koła (matki dzieci) przygotowują ciepłe śniadania, dla dzieci uboższych zupełnie bezpłatnie, dla innych po cenach najniższych; są też koła starające się o obiady dla dzieci najbiedniejszych. Najszerzej znaną może jest praca kół, mająca na celu organizowanie kolonii letnich i zimowych oraz półkolonii, w których dzieci danej szkoły za bardzo niską opłatą, a w pewnych wypadkach nawet bezpłatnie, spędzić mogą czas wakacyjny pod opieką i w zdrowych warunkach.

Oto mamy jedną grupę celów i zadań koła! „Tak — powie mi ta i owa matka — ale zawsze składki, zawsze pieniądze, a tu z każdym groszem liczyć się trzeba". Owszem, często trudno, nawet 20—30 gr miesięcznie opłacać. Ale zważmy, że z pieniędzy tych, grosz do grosza składanych, nikt inny, tylko własne dzieci korzyści odnoszą. Śniadania w szkole opłacają dzieci tak nisko, że nawet w domu trudno taniej je wystawić a kolonie szkolne są przecież najniżej opłacanymi wywczasami dzieci; o ile zaś warunki domowe są bardzo trudne lub kilkoro dzieci z jednego domu uczęszcza do danej szkoły, koła udzielają jeszcze zniżek w opłatach lub zabierają pewną ilość dzieci zupełnie bezpłatnie. — A jeśli własne dzieci tej pomocy nie potrzebują, czyż nie miłą będzie myśl, że drobną składką przyczynić się można do złagodzenia nędzy kolegów i koleżanek dzieci? Tymczasem tak mało rodziców do kół należy a jeśli należą, to tak mało w nich pracują! Składka to jeszcze nie wszystko! Żeby móc przyjść dziatwie z pomocą, koła organizują zabawy dochodowe, wenty, przedstawienia itp., bo z owych składek byłoby rzeczą niemożliwą wszystkie wydatki pokrywać. I tu powiedzieć trzeba, że koła stoją często pracą kilku lub kilkunastu osób-członków, którzy całą tą akcją mozolną, często niedocenianą przez ogół rodziców, kierują, którzy naprawdę napracują się rzetelnie. Są codziennie w szkole i gotują śniadania, długie dni pracują nad urządzaniem zabaw, wiele, bardzo wiele sił wkładają w pracę na koloniach — w pracę i odpowiedzialność dla dzieci cudzych! Niechże w tej pracy pomogą wszyscy rodzice ową drobną miesięczną składką! A jeśli ich na to nie stać, jest wyjście: *zarząd koła może zwolnić od opłaty składki, jeśli warunki domowe są trudne.* I jeszcze jedno wyjaśnienie: *gdy z jednego domu chodzi kilkoro dzieci do danej szkoły*, opłaca się tylko jedną składkę, nie za każde dziecko — bo członkami koła są przecież rodzice, nie dzieci.

Kto zaś w żadnym razie składki opłacać nie może, *znajdzie może chwilę czasu do pomocy w kole* — a jeśli nie sama matka czy ojciec, to może starsza córka podjęłaby się pomocy w kole, dla dobra swego rodzeństwa?

Tyle o znaczeniu koła ze strony materialnej.

II. Wiele głębsze i *ważniejsze są zadania koła pod względem wychowawczym, moralnym.*

Wiemy wszyscy — a matki wiedzą o tym najlepiej — ile trudności wychowawczych zwłaszcza dzisiaj na każdym bodaj kroku się spotyka. Tyle dokoło nas zła, tyle pokus i niebezpieczeństw otacza dzieci, a one mniej czy więcej wpływom rozmaitym ulegają.

Dobrze, a co koło w tym pomoże? Owszem, bardzo wiele. Koła w porozumieniu z dyrekcją szkoły urządzają *odczyty lub wykłady dla rodziców* a na wykładowców proszą ludzi światłych, wychowawców doświadczonych, pracujących stale w dziedzinie wychowania. Tam każdy znajdzie cząstkę dla siebie, dla swej pracy nad własnymi dziećmi. Trzeba by z takich wykładów korzystało jak najwięcej rodziców, zwłaszcza matek, trzeba też koniecznie brać udział w dyskusji po takim wykładzie, mówić o własnych trudnościach wychowawczych. Przyjął się powszechnie sposób, że można pytanie swe podać na kartce wykładowcy, o ile nie chce się go wprost powiedzieć. Można też w zaufaniu podać pytanie nauczycielce czy nauczycielowi, którzy je głośno w dyskusji podadzą bez wymienienia nazwiska pytającego, by go nie krępować. Najczęściej też można po wykładzie osobiście rozmawiać z wykładowcą. Wykłady takie należycie przez rodziców wykorzystane, mogą niejedną trudność wychowawczą wyjaśnić. Trzeba tylko, by rodzice istotnie chcieli z nich korzystać, pytali i radzili się jak najwięcej. Bywają podobne wykłady ogólne w rozmaitych stowarzyszeniach i parafiach; szkolne jednak o tyle je przewyższają, że odnoszą się do określonej grupy dzieci, uwzględniają ich potrzeby i dostosowane też są do dzieci w jednym wieku, zwłaszcza, gdy odbywają się w gronie rodziców jednej klasy, czyli w tzw. „patronacie klasowym".

Patronaty klasowe urządzają także z opiekunem czy opiekunką klasy *zebrania wyłącznie dyskusyjne bez referatu*, na których *radzi się wspólnie nad sprawami klasowymi*, nad sposobem pracy domowej dzieci lub sprawami wychowawczymi, przy czym i rodzice i nauczyciel podają swe spostrzeżenia i wymieniają

zdanie swe w sprawie takiego czy innego postępowania z dziećmi. Takie zebrania klasowe mają więc jeszcze większą wartość niż ogólnoszkolne. Patronaty starają się również o dostarczenie przyjemności dzieciom danej klasy: urządzają wycieczki, uroczystość św. Mikołaja itp. W ogóle więc patronaty wytwarzają pewne zżycie się nie tylko dzieci ale i rodziców danej klasy.

Najistotniejszym jednak zadaniem koła pod względem wychowawczym jest stałe nastawienie i stała gotowość rodziców do współpracy ze szkołą w sprawach wychowania. O co tu chodzi? O to, by rodzice zbliżyli się do szkoły, do nauczycielstwa, by poznali żądania szkoły, zrozumieli jej rozporządzenia i poczynania i ręka w rękę ze szkołą dążyli do sumiennego przeprowadzenia ich. Może się zdarzyć, że rodzice mają zastrzeżenia co do poczynań szkoły i wtedy mają pełne prawo, nawet obowiązek zwrócić się do szkoły o wyjaśnienie i każde rozumne kierownictwo szkoły przyjmie głos rodziców i rozważy go, tym więcej, jeśli to jest głos nie jednostek ale zorganizowanego zespołu rodziców. Kto by jednak w kole chciał mieć stałego orędownika w sprawach błahych czy osobistych, kto wciąż tylko chce błędy wyszukiwać w szkole i protestować, na mylnej jest drodze! Nie o wytworzenie dwóch frontów: nauczycieli i rodziców chodzi, tylko o wzajemne porozumienie dla dobra dzieci.

Czego ze swej strony spodziewa się szkoła od rodziców przez koła rodzicielskie? Przede wszystkiem *tego, by rodzice od dzieci żądali na równi ze szkołą sumiennego spełniania wszystkich obowiązków szkolnych:* karności, punktualności, pracowitości i przestrzegania wszelkich przepisów co do zachowania w szkole i poza szkołą. Są sprawy, które wydają się rodzicom czasem tak mało ważnymi np. przepisowy ubiór, a jednak w całokształcie wychowania są tak bardzo ważnymi. Przepis jest przepisem i trzeba się do niego stosować — to muszą zrozumieć i dzieci i... rodzice, bo bez karności, bez poszanowania praw nie ma ani dobrego obywatela ani w ogóle człowieka wartościowego. *Pragnie też szkoła, by rodzice darzyli ją zaufaniem* i widzieli w niej nie wroga a przyjaciela. Koła rodzicielskie mają właśnie pod każdym względem to porozumienie ułatwić. Bez wzajemnego poznania i porozumienia, bez szczerego wzajemnego wypowiedzenia i udzielenia rad i wskazówek nie może być mowy o współpracy nad dziećmi. *I dziecko musi też tę jedność szkoły i domu wyczuwać* — nie może dom zwalczać wymagań szkoły ani na odwrót! Wytworzenie tej jedności domu i szkoły, to wielkie zadanie kół rodzicielskich!

Sądzę, że po tych krótkich wyjaśnieniach celów koła i jego czynności, nikt nie przekreśli wartości koła, o ile ono tylko dobrze ze swych zadań się wywiązuje. Cele ma wielkie i wspaniałe, bo przedmiotem jego zainteresowań jest każde dziecko, jest przyszły człowiek dorosły — oby godny członek Kościoła i społeczeństwa!

Hasłem na początku nowego roku niechaj będzie: *wzmożona współpraca rodziców ze szkołą przez koła rodzicielskie!*

Dla informacji dodaję, że statutem przewidziane obowiązki członków koła są:

1. czynne przyczynienie się do realizacji celów koła;
2. uczęszczanie na zebrania;
3. płacenie składki.

Prawa członków:

1. czynne i bierne prawo wyborcze (członek może wybierać członków do zarządu i może być sam wybrany);
2. prawo zgłaszania wniosków na ogólnym zebraniu koła.

Co myślą o nas zagranicą

W Scheveningen w Holandii znajduje się siedziba protegowanej przez rząd polsko-holenderskiej spółki połowów dalekomorskich. Układ jest tego rodzaju, że Polska kupuje holenderskie śledzie pod warunkiem, że w połowach biorą udział nasi marynarze i rybacy. Włączony jest w to także kurs naprawy sieci dla dziewcząt.

Literatka p. Rita Rey była w biurze tego przedsiębiorstwa i tak tę wizytę opisuje w I. K. C.: „Przyjęła mnie młoda panna, córka dyrektora, mówiąca po polsku jak rodowita Polka. Bez najmniejszego akcentu, bez jednego gramatycznego błędu.

Udzieliła mi informacji, z których dowiedziałam się, że nasi marynarze mają doskonałą opinię. Są pracowici, wytrzymali, energiczni, zdyscyplinowani, nie upijają się, nie wyprawiają burd — słowem relacje jak najlepsze. Sieciarki prowadzą się bardzo moralnie i są ogólnie lubiane. Tylko...

„Tylko zapluskwili łodzie. Nikt im nie chciał potem wynajmować mieszkań. Chłop holenderski nie wie, co to są pluskwy. Nigdy tego nie widział. Był przerażony. Słyszeć nie chciał o podobnych lokatorach. Toteż musimy polskich marynarzy poddawać dezynfekcji, gdy przyjadą. Początkowo bardzo się bronili, bo to ich obrażało. Były nawet jakieś raporty. Ale teraz nie robią już trudności. I wszystko jest w porządku."

Wszystko jest w porządku dla Holendrów ale nie dla nas. Zdaje mi się, że ta dezynfekcja powinna się odbywać przed wyjazdem z Gdyni, ale nie w Scheveningen. Przecież to skandal, żeby Holender musiał Polaka dopiero czyścić, zanim go pod swój dach wpuści."

Musimy przyznać słuszność p. Rey. Od siebie dodajemy, że pewno byłoby najlepiej, by oczyszczenie nastąpiło w domu, a raczej by wcale nie było potrzebne, dzięki utrzymaniu domów w porządku, w czystości.

ŹRÓDŁO ZYSKÓW

Lasy i bory nietylko upiększają naszą ziemię, nietylko zdrowszą czynią całą okolicę, wchłaniając szkodliwe dla płuc wyziewy, a szerząc zapach cudny — ale mieszczą przeróżne skarby, które ludzie zapobiegliwi i pilni mogą, jeśli zechcą, zamienić na pieniądz, tak trudny dziś do zdobycia. A więc przypomnijmy sobie poszczególne dary lasów.

Otóż żyje w lasach wszelkiego rodzaju zwierzyna, dając myśliwym sposobność zarobku, ze sprzedaży upolowanych zajęcy, rogaczy, jeleni, dzików, bażantów, głuszczów i cietrzewi. Prócz zwierzyny dostarczają lasy człowiekowi materiału drzewnego, jako budulca na chaty, domy, kościoły, na wszelkie sprzęty domowego użytku i gospodarskie potrzeby, na okręty i łodzie — trumny i kołyski. Bo w lasach naszych są i dęby i sosny, buki i świerki, brzozy i lipy, modrzew i olszyna, nawet cisy gdzieniegdzie rosną. Jest więc możność wyboru stosownego drzewa na wszelkie narzędzia i potrzeby, stanowiące podstawę przemysłu drzewnego, dostarczając surowców dla tartaków, fabryk terpetyny, zapałek, mebli, papieru, następnie przemysłowi bednarskiemu, ciesielskiemu i wytworów węgla drzewnego. Ileż więc zajęć przeróżnych i dochodów dają mężom i synom naszym te lasy, które tak obficie a cudnie zdobią naszą ziemię.



Oryginalna sosna o kilkunastu konarach, o jednym pniu w ogrodzie pp. Domaszewskich w Serednem woj. Stanisławowskie

A kobieta jakież specjalnie może mieć z lasu korzyści? Przeróżne kwiaty leśne i gałązki wiązane w bukiety pozwolą zdobyć niejeden grosz na miejskim targu; dajej jagody czarne, poziomki, jeżyny, maliny i borówki. Nieraz lekceważą sobie ludzie te skarby leśne, nie zbierają ich, nie zdając sobie sprawy jak zdrowe są dla ludzi te leśne owoce. Nie mogąc ich zużyć lub sprzedać zaraz, nie dbają o nie, bo nie umieją ich przechować i przerobić na soki, susz czy konfiturę. Są okolice gdzie n. p. jeżyn wcale nie zbierają, choć to jagoda bardzo smaczna w surowym stanie, a sok z niej przyjemny ma smak i lepiej orzeźwia latem niż piwo.

Również bogato jak jagodami obdarzają nas lasy grzybami wszelkiego rodzaju. Zagranica nie ma w lasach tyle jagód i grzybów więc sprowadza je od nas i w r. 1930 zakupiono u nas tych smacznych leśnych skarbów za 3½ miliona złotych. Można by zdobyć i więcej za grzyby i jagody, gdyby wszyscy wśród leśnych okolic mieszkający znali się lepiej na zbieraniu, suszeniu i sprzedawaniu tego co Bóg w lasach dla nich zasiał.

Grzybów jest wielka rozmaitość i nie wszystkie są jadalne, ale dużo jadalnych się marnuje, bo ludzie boją się jeść je, nie mając pewności, że się nie potrują. W niektórych okolicach rośnie tyle rydzów, że można by je kosić. Nikt ich nie zbiera z obawy natrafienia na rydz trujący. A rydza prawdziwego łatwo poznać. Rydz trujący jest po przekrojeniu biały a rydz prawdziwy czerwieni się pod naskórkiem jak krew. W innej okolicy znów maślaków nie zbierają, bo się nie opłaci. Jeśli się nie opłaci nosić i wozić ich do miasta daleko, to w każdym razie opłaci się gotować dla siebie i suszyć. Grzyby są bardzo pożywne i można je jeść choćby dwa razy na dzień, byle gospodyni umiała je tak przyrządzić, aby się nie znudziły domownikom. Czego to z grzybów nie robią! I zupy i befsztyk i zrazy smaczne, wyborną jajecznicę, z grzybami, naleśniki i makaron. Każda zupa smaczniejsza, gdy parę grzybów w niej się ugotuje. Każdy sos grzybami można poprawić, a kasza i ryż lepiej smakują podlane sosem grzybowym. Znam takiego smakosza, co nawet ciastka z grzybów fabrykuje! Jakieś 54 gatunki jadalnych grzybów podaje „Atlasik" kieszonkowy.

Prócz jagód i grzybów rośnie w lasach dużo ziół, które zebrane i starannie ususzone, mogą dać zarobek. Najdrożej płacą za kwiat jasnoty białej t. zw. głuchej pokrzywy, bo 13—14 zł za kilo. Żołędzie, głóg, orzechy, kasztany także spieniężyć można. Tak to bogato darzą nas lasy. Nie darmo mówią, że pieniądz leży na ziemi — tylko trzeba umieć go podnieść.

T. P.

ŁAKOME ROŚLINKI

Stefka jest bardzo zmartwiona. Miała przynieść sok malinowy do leguminy i ogromnie się na niego cieszyła — a tu się okazuje, że sok jest spleśniały. Taki sobie wspaniały kożuszek, zielonawy dywanik usiadł w szyjce butelki — no i wszystko nabrało nieprzyjemnego smaku. Stefa jest trochę łakoma i tak się tem zmartwiła, że poszła opowiedzieć swemu bratu, Jankowi.

Chłopczyk siedzi na bujającym się fotelu i ma bardzo znudzoną minę. Nie przejął się wcale nieszczęściem (zwłaszcza, że malin nie lubi) i powiada z odcieniem wyższości:

— E, to pewnie znowu jakie „drobnoustroje"!

Stefka chciałaby coś więcej o tym posłyszeć, nie lubi przecie, kiedy Jaś wie coś więcej, niż ona. Ale braciszek bardzo niedbale odesłał ją do „tej pani, co u nas mieszka". Stefa niebardzo śmie tam wchodzić, lecz ciekawość zwycięża. Wprawdzie panna Krysia nie

ma czasu, dziewczynka wychodzi jednak z pokoju z książką w ręku i zagłębia się w nią z zapałem.

A więc dowiaduje się: że pleśnie są grzybkami, tworzącymi białe, zielone, czarniawe albo innej barwy plamy, puszyste od wzniesionych prostopadle niteczek (to Stefa wiedziała). Na niteczkach tworzy się proszek, służący do rozmnażania: gonidia albo zarodniki, które mogą dłużej czekać na skiełkowanie. Te zarodniki mają różne kształty, charakterystyczne dla różnych gatunków: pędzli, kropideł, pojedyńczych pałek, i potem rozsypują się na pył, który jest zbiorem drobnych strzępków grzyba. Stąd też niektóre pleśnie nazywają się naprzykład: kropidlak, albo pędzlak. Rozwijają się na różnych podłożach, martwych lub żywych, a więc: na chlebie, wędlinach, serze, na mące, wilgotnych skórach — w ogrodzie na opadłych liściach, w podwórzu na nawozie, nawet na skórze zwierząt. Te są już pasożytami, podczas gdy wszystkie inne żyją z rozkładu obumarłych części organicznych, czyli są roztoczami. Potrzebują do swego rozwoju koniecznie pewnej wilgoci i pewnej miernej temperatury.

Dlatego przy przechowywaniu pożywienia, gdy trzeba stworzyć takie warunki, w którychby się pleśnie nie rozwijały, przestrzegamy jednej z dwu zasad: staramy się utrzymać najmniejszą wilgotność lub zabijamy zarodniki wysoką temperaturą. Pierwszego sposobu używamy na przykład przy przechowywaniu mąki, kaszy wędlin. Tych ostatnich, o ile są rzeczywiście wędzone, a więc działaniem dymu zabezpieczone od szybkiego rozkładu, czyli gnicia. Mąka może zawierać 12—14% wody, wtedy przechowuje się świeżo. Wyższa wilgotność powoduje stęchnienie, czyli rozwój pleśniaków, zaczyna się psucie zawartych w mące ciał azotowych — a stąd kwaśnienie. Zabijaniem przez gotowanie posługujemy się przy robieniu konserw z warzyw i owoców, zamykając je poprzednio szczelnie, by uniknąć późniejszych zakażeń. Smażenie konfitur i soków także niszczy zawarte zawsze na owocach zarodniki żarłocznych grzybków, trzeba jednak przez staranne zawinięcie słoików udaremnić ich późniejsze ataki.

Bardzo ważne jest przechowywanie jarzyn, by je uchronić od gnicia, powodowanego zawsze przez bakterie i grzyby. O ile nie robimy z nich konserw, które, dobrze wykonane, zapewniają świeżość materiału, to o czym trzeba przede wszystkim pamiętać? O wilgoci. Żadne kartofle, należycie osuszone, nie ulegną gniciu. Przy zsypywaniu ziemniaków na kopiec spostrzegamy, po kilku dniach, silne zaparowanie: temperatura się podniosła, oddychanie wzmogło (bo pamiętajmy, że ziemniak żyje i potrzeba mu powietrza do oddychania) i ziemniaki się zapociły. Trzeba wtedy koniecznie odczekać, aż obeschną, zanim je przykryjemy. W piwnicach, wszędzie, gdzie chowamy warzywa, powinno być możliwie sucho. Dlaczego tak dobrze utrzymują się wszelkie korzenie — marchew na przykład w w piasku? Mają mierną wilgoć, dostęp powietrza i ochronę od nagłych zmian warunków zewnętrznych.

To wszystko nie bardzo już Stefkę ciekawiło. Wolała opisy samych pleśniaków, owych „łakomych roślinek" jak je tam nazywano. Bo wszystko atakują. Niema przetworu, na którym by się jakiś grzybek dobrze nie czuł, do którego by się nie przyzwyczaił. Oczywiście każdy w czym innym się specjalizuje: istnieje między nimi podział pracy. Tak więc przy opisie przecho-

wywania cebuli Stefka zaczęła ziewać i bardzo się ucieszyła, posłyszawszy wołanie matki. Polecono jej schować resztę niezjedzonego podwieczorku do lodówki. Dlaczego tak się robi? — pomyślała dziewczynka. — Oczywiście dlatego, że gnicie nie następuje w niskich temperaturach. „Bakterie gnilne", jak tam było napisane, zaczynają działać dopiero nieco powyżej 0°. Bardzo dumna ze swego odkrycia, pobiegła Stefa pochwalić się bratu. *B.*

DZIECI PODRÓŻUJĄ

Każda niedziela, każdy dzień świąteczny to okazja do wyjazdów. A to srebrne wesele ciotki, a to zaręczyny kuzynki, a to imieniny babci, i tak zawsze coś się znajdzie,



jakiś powód do wyjazdu z całą dzieciarnią z domu. Nie zawsze jednak te podróże są zdrowe i przyjemne dla dzieci. **Często podróż połączona jest ze szkodą dla zdrowia, albo nawet dla charakteru.**

W pociągu toczą się rozmowy między starszymi, niezawsze odpowiednie dla młodzieży. Mówi się często o różnych nadużyciach, o kradzieżach, krytykuje się cały świat, a nieraz gdy rozmowa jest weselsza opowiada się nieskromne żarty. **Dzieci wysłuchują tego pilnie, chociaż nam się wydaje, że nic nie słyszą,** że wyglądają przez okno.

W przedziale dla kobiet znowuż słyszy się rozmowy o chorobach kobiecych, o porodach, o operacjach itp. **Matki rozmawiają swobodnie, nie zważając na kilkoletnie dzieci.** Bo takie małe dziecko nic nie rozumie. I rzeczywiście, dzieci nie rozumieją dokładnie treści tych rozmów, ale **słuchają i zaczynają o tym myśleć, chcą rozumieć. Raz skierowana uwaga dziecka w tym kierunku, zacznie teraz szukać wytłumaczenia. Dzieci zaczną podsłuchiwać, zaczną teraz uważniej oglądać matkę, która w pociągu takie dziwne rzeczy o sobie opowiadała.** W niektórych dzieciach takie opowiadania **wzbudzają niechęć do matki,** co potem przejawi się u dziecka jako upór, jako dokuczliwość i trwa nieraz latami, zatruwając życie matce.

Przychodzi kontrola biletów. Zdarza się często, że **matka podaje fałszywy wiek dziecka,** chcąc je wieźć bez biletu, by złotówkę zachować w kieszeni. Dzieci słyszą jak matka mówi nieprawdę i zaczynają rozumieć, że, gdy idzie o zysk, o własny interes to można czasami skłamać. Dziecko wie, że jest wspólnikiem matki w tej sprawie i nie wyda matki przed konduktorem, ale cóż się stało? **Oto matka za te złotówki oszczędzone sprzedała swoją powagę wobec dziecka i dziecięcą uczciwość.** Cóż znaczą potem pogadanki szkolne o prawdomówności, cóż znaczą kazania o uczciwości, **kiedy dzieci miały taką praktyczną lekcję w pociągu.**

Ileż poza tem chorób czyha na dzieci w podróży! Wiemy już dzisiaj wszyscy, że **zarazić się można albo od człowieka chorego na chorobę zakaźną, albo od tego, który niedawno chorobę przebył, albo wreszcie i od człowieka zdrowego, który często w ustach i w gardle nosi różne zarazki.** Siedzi ktoś koło naszego dziecka w pociągu, uśmiecha się, zagaduje, daje mu cukierki, bierze do siebie na kolana, a przecież my nie wiemy, czy ten ktoś nie wraca właśnie od ciężko chorego, czy może sam niedawno przebył grypę. Tam ktoś kaszle, kicha prosto w twarzyczkę dziecka, bo w tłoku nawet nie można się wykręcić.

Niemowlętom i małym dzieciom najwygodniej i najzdrowiej jest we własnym domu. A więc nie powinniśmy ich wozić z sobą, gdy wyjeżdamy dla własnej przyjemności. A wiedząc, że płaczące niemowlę i wszędzie biegające małe dzieci drażnią i męczą otoczenie, a szczególniej starszych ludzi, raczej pozostańmy w domu, gdy nie mamy z kim dzieci zostawić. Zabieramy dzieci w podróż, gdy wymaga tego ich zdrowie, albo gdy ważne sprawy zmuszają nas do wyjazdu z domu.

Do podróży wybierać należy raczej dni powszednie gdyż wtedy w pociągu jest bardziej swobodnie i łatwiej znaleźć wolny przedział. **Nie powinno się dawać dzieci w obce ręce, nie należy też pozwalać, aby ktoś podawał przysmaki naszym dzieciom.** Nawet najmilsze nasze dziecko, jest dla obcych tylko przeszkodą w podróży, trzeba więc dzieci trzymać przy sobie i nie pozwalać im, aby chodziły po całym przedziale, dotykały wszystkich brudnymi od jedzenia rączkami, ciągnęły za ubranie i napierały się wszystkiego, co ktokolwiek zaczyna jeść.

Żeby uniknąć tak **niebezpiecznego przegrzania w dusznym wagonie, trzeba od razu po wejściu do przedziału zdjąć dzieciom płaszczyki i grube swetry oraz czapki.** W lecie, okno otwarte z jednej strony, nie grozi przeciągiem, a zapewnia świeże powietrze, i chroni od zaduchu. W zimie zważać trzeba na otwarcie górnych wentylatorów.

Nie powinno się podróżować z dziećmi gorączkującymi, albo chorymi na koklusz czy inne choroby zakaźne. Nie powino się także zabierać dzieci do pociągu, ani do autobusu, gdy w okolicy panuje epidemja grypy, szkarlatyny, kokluszu albo dyfterji. Lekarka.

We własnym interesie

Do Związku Obrony Przemysłu Polskiego w Poznaniu napływają stale zapytania o istniejące w kraju czysto polskie i chrześcijańskie fabryki i hurtownie.

Związek informuje zainteresowanych o istnieniu tych firm i co produkują. Celem posiadania bliższych danych przystąpił Związek do opracowania trzeciego wydania „Skorowidza Firm Polskich" w układzie branżowym.

Związek Obrony Przemysłu Polskiego zwraca się zatem do wszystkich zainteresowanych firm o umieszczenie we własnym interesie swego adresu w tym „Skorowidzu", z którego wynikają bliższe szczegóły o wytwórczości danego przedsiębiorstwa.

„Skorowidz", który ukaże się w dużym nakładzie, rozpowszechniany będzie po całej Polsce i poinformuje poza Związkiem bezpośrednio zainteresowanych o istniejących tego rodzaju przedsiębiorstwach.

Bliższych informacyj udziela Związek Obrony Przemysłu Polskiego Poznań, ul. Rzeczypospolitej 1, tel. 13-58.

ODDZIAŁY PISZĄ...

Mońki, diecezja wileńska.

Zachęcona apelem Gazety dla Kobiet i gościnnie przeznaczoną stroną na korespondencję z Oddziałów, decyduję się przesłać trochę wiadomości.

W miesiącu czerwcu 1935 po przybyciu do nas obecnego Księdza Proboszcza Józefa Dawgwiłły — po wygłoszonym kazaniu z ambony i referacie na sali parafialnej o istnieniu K. S. K., jego znaczeniu i zadaniach zapisało się 180 kobiet, zaś przy końcu roku 1935 było nas 660 członkiń. Tak że dziś wszystkie parafianki, które można było przyjąć do Akcji Katolickiej, są zrzeszone.

Członkinie podzielono na zastępy wsi i kolonii. Każdy zastęp liczy 15 osób na czele z zastępową.

Na niedziele i święta otrzymuje zastępowa czasopisma katolickie, które czyta na zebraniach zastępu. Na dnie powszednie daje te czasopisma tym członkiniom, które nie mogły być na zebraniu zastępu.

Zjednoczenie i Gazetę dla Kobiet czytamy na zebraniach plenarnych, które odbywają się u nas w każdą drugą niedzielę miesiąca.

Opiekujemy się chorymi — przygotowujemy ich do przyjęcia ostatnich Sakramentów św.

Mamy sztandar.

W każdy pierwszy piątek miesiąca uczestniczą członkinie w uroczystej mszy św. i przyjmują Komunię św. wynagradzającą przed figurą Serca Jezusowego, którą kupiono z dobrowolnych ofiar członkiń i umieszczono w kościele przy bocznym ołtarzu.

Oddz. Gąbin, pow. Gostynin, diec. płocka.

NASZA „HERBATKA".

Cóż to za kopy jaj i fura mąki? I śmietana i masło, a nawet miód? w woreczku cukier, a tu herbata?

A wśród tego uwija się nasza dzielna prezeska, tu pochwali, tam pokrzyczy, tu się śmieje, tam się gniewa...

— A czy będzie dobrze?... a czy się uda?

— Musi się udać, musi być dobrze!

Dwie członkinie pomogą przy pieczeniu, dwie wyzbierają składki, ta kupi wędliny, tamta sprzeda jajka itd... itd...

Sypią się rozkazy i napomnienia, bo nasz Oddział K. S. K. urządza herbatkę towarzyszką dla sąsiednich oddziałów. Zaproszenia rozesłane kilka dni naprzód.

I nadszedł wreszcie ten ważny dzień. Prezeskę już od rana głowa boli, ale bo też napracowała się poprzednich dni! Upiekła około 200 pierniczków, 300 kruchych ciasteczek, 4 placki z jabłkami, a poza tym trzeba ukrajać bez liku kawałków chleba i wędlin.

Rozkładamy wielkie stoły w jadalni miejscowego dworu, gdyż właścicielka jest naszą członkinią i chętnie udzieliła swych pokojów. Talerze i szklanki pożyczone piętrzą się na bocznym stole. Na obrusie żółte nagietki rozweselają jak promień słońca.

Goście zaczynają się schodzić, na razie zabawiamy wszystkich na tarasie przed domem.

„Niech będzie pochwalony"... „Dzień dobry"... A co słychać? A dlaczego więcej członkiń nie przyszło?... A jak zdrowie? A jak tam praca?

Miła pogawędka... ale oto i księża Asystenci przybyli.

Gwarno i rojno w jadani; jest nas 49 osób. Okazuje się katastrofa! Niedokładnie obliczono wielkość stołu i jest nieco ciasno, ale za to tym serdeczniej, bo na jednym krześle tulą się po dwie członkinie.

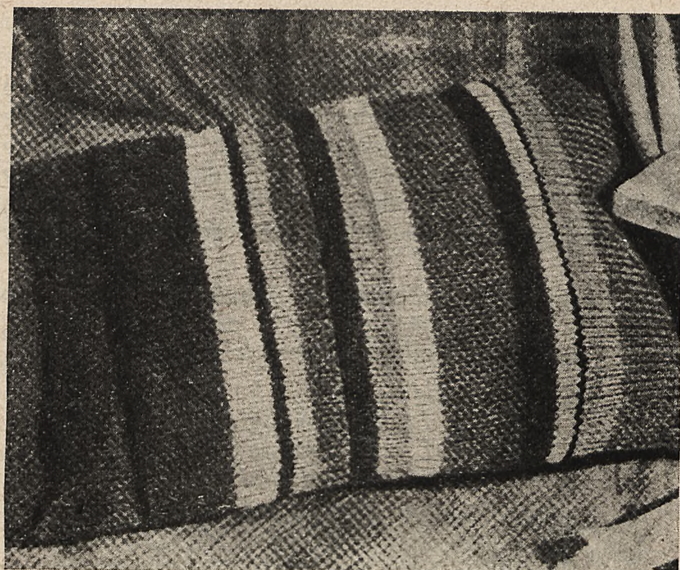
Prezeska biega i krząta się za wszystkich, sama nie je i nie pije bo musi myśleć o gościach... Dwie członkinie dzielnie roznoszą herbatę... Jak ładnie, jak miło!

Nagle stuk łyżeczki w szklankę: prezeska przemawia. Gładkim wierszem powitała gości.

Brawo, brawo! wszystkim się bardzo podobało! Ale oto jedna za drugą wstają nasze członkinie i sypią się wiersze i dialogi, przeważnie wesołe... A jak dobrze odegrane! Ale bo my mamy aktorki wśród kobiet nie byle jakie! Tylko role im dać i raz pokazać ruchy, a tak ci odegrają, że aż się człowiek za boki bierze ze śmiechu.

Za długo było by wszystko powtarzać, ale jeden wierszyk to musicie poznać, może się komu przyda, a ułożony jest przez jedną z naszych członkiń:

Ee! nie nudźcie mnie i kwita,
Tu ktoś gada, tu ktoś pyta...
A dlaczego? a przyczyna?
A już późno, już godzina!
Ja sama wiem dobrze o tem
I wytłumaczę się potem.
Bo doprawdy... nie wiem przecie,
Co wy tu ode mnie chcecie!...
Zapisałam się, należę
I kocham was wszystkie szczerze...
A że opuszczę zebranie
Czy się co od tego stanie?
Albo, że się spóźnię krzynę
Dwie, może jedną godzinę...
Toć to człowiek nie wiatr przecie
Żeby duchem, już, już lecieć!...
Jak ostatnio! zdążyć chciałam,
To chustka się zapodziała!
Latam krzyczę i pomstuję...
I dzieciska poszturchuję.
Ni ma! no, jak kamień w wodę!
Ot masz człowieku wygodę!
Wzięłam inną i już idę,
A tu jak na moją bidę
Gęsi właśnie wlazły w szkodę!
A sio, a sio... a na wodę!
Musiałam je zegnąć przecie...
Idę... aż... (powiem w sekrecie)
Wojciechowa z Bartoszową
Oglądają chustkę nową...
Chustka piękna, ani gadu,
Wstąpiłam więc do ich sadu
I przynieśli mi ławeczkę
Musiałam usiąść chwileczkę —
I gadamy o tem, owem,
To i tamto... jednym słowem
Od nowiny do nowiny
Doszło do późnej godziny...
Ale czy człek jest Duch Święty,
Żeby tak miał mózg napięty:
„Dziś zebranie, dziś zebranie!"
Eee, to głowy zawracanie.
Ludzie żyli długie lata,
Moja mama i mój tata,
I czy kto ich gdzie tam pilił?
Spóźnili się, to spóźnili...
A ja... (aż mi leci łezka)
Wciąż na mnie nasza prezeska!...
Ale dzisiaj, siostry drogie,
W kłus leciałam całą drogę
Żeby się nie spóźnić wcale,
Bo wiem o tym doskonale
Co znaczy każda chwileczka
Tam gdzie są smaczne ciasteczka.
Więc proszę. piszcie członkinie
Że jestem o swej godzinie!
Na dzisiejszym posiedzeniu
Jestem pierwsza... przy jedzeniu!





Poduszka w pasy w jaskrawych żywych kolorach robiona na drutach.

Do wykonania tej poduszki, należy przygotować: po 50 gramów grubej wełny (jak na kołderki) w kolorach: jasno-zielony, rdzawy, ciemno-szary; poza tym 15 gramów wełny białej, 10 g jasno-niebieskiej, 10 g jasno-żółtej i 5 g czarnej.

Robi się tę poduszkę na grubych drutach. Po ukończeniu powinna mieć 47×57 cm.

Zaczyna się ją od jednego z węższych boków: nabiera się 104 oczka z zielonej wełny, zamyka się ten łańcuszek w koło i robi się dalej na prawą stronę: 17 rzędów zielonych, 2 czarne, 14 rdzawe, 6 białych, 2 czarne, 4 żółte, 5 szarych, 1 czarny, 3 rdzawe, 6 niebieskich, 4 białe, 12 zielonych, 5 rdzawych, 3 białe, 1 czarny, 6 żółtych i 15 szarych.

Na wzorze 2 rzędy dają grubość 1 cm.

Gdy się zakończy tę robotę — należy wsunąć do środka poduszkę z włosia lub pierza w powłoczce z jakiegoś materiału i złączyć brzegi krytymi ściegami.

Nigdy jeszcze kościoły nie były tak przepełnione w Niemczech jak obecnie...

„The Universe" czasopismo angielskie zamieszcza interesujące sprawozdanie o sytuacji w Niemczech pewnego kapłana katolickiego z Anglii, który tylko co powrócił z Trzeciej Rzeszy.

Zdaniem kapłana angielskiego nigdy jeszcze kościoły w Niemczech nie były tak bardzo przepełnione jak obecnie, mimo, że, jak wiadomo, czynione są wszelkie możliwe starania by odciągnąć młodzież od nabożeństw i praktyk religijnych. Na pozór wszystko jest najzupełniej normalne i nic nie świadczy o prześladowaniach religijnych o których tyle pisze prasa zagraniczna. A jednak to prześladowanie istnieje. Co niedzielę dzieci i młodzież udają się do swych „obozów", podzielone na różne mniejsze lub większe formacje, do których muszą należeć, czy chcą czy nie chcą. Ci, którzy do nich nie należą, nie mogą nawet marzyć o otrzymaniu jakiejkolwiek posady rządowej. Pierwszym pytaniem, jakie się zadaje młodemu człowiekowi, ubiegającemu się o jakieś zajęcie, jest do jakiej organizacji należy. Duchowieństwo katolickie (a także i protestanckie, chociaż mniej) otoczone jest siecią szpiegowską, która bacznie czuwa nad każdym niemal krokiem kapłanów. Informator „The Universe" sam widział jak podczas Mszy św. pewien żołnierz w mundurze „SA" coś notował w notatniku w czasie kazania.

Gazeta do Czytelniczek

Oddziały K.S K. diecezji włocławskiej.

W Wskazaniach Diecezjalnego Instytutu Akcja Katolickiej w Włocławku znajdujemy w dziale K. S. K. wezwanie do naszych Oddziałów, by zakładały ochronki.

By ułatwić Oddziałom pracę tę przypominamy, że Gazeta dla Kobiet w numerze 2 na miesiąc luty 1936, podała na str. 22 mały artykulik „O własnych siłach", w którym lekarka opisuje, jak na przestrzeni pewnego województwa założyły matki same i same utrzymują (dlatego tytuł „O własnych siłach") 31 sezonowych (to znaczy na miesiące letnie) dziecińców czy ochronek.

Ochronki mieszczą się w pustych latem w czasie wakacyj salach szkolnych.

Prowadzą je młode dziewczęta: ochroniarki albo uczennice seminarium. Matki płacą 75 lub 50 gr miesięcznie poza tym przynoszą produkty wiejskie: chleb, masło, mąkę, trochę warzywa.

Po kolei matki, na zmianę, sprzątają szkołę. Wypada na każdą 2 razy w miesiącu najwyżej.

Dumne są i cieszą się, że z niczego własnymi siłami stworzyły swoje dziecińce.

Gospodarstwa w tych wsiach są 10—15 morgowe, jest kilka większych około 60 morgowych, ale jest i dużo 8, a nawet 6 morgowych.

Oddziały, które posiadają roczniki Gazety z roku 1936 niech zajrzą do lutowego numeru. Przesłać nikomu niestety nie możemy, gdyż ten właśnie numer jest zupełnie wyczerpany.

Do wszystkich Czytelniczek.

Dochodzą nas miłe wiadomości, że numer Gazety na lipiec i sierpień bardzo się podobał. Był gruby! Tyle było do czytania. Redakcji łatwiej układać numer, gdy ma dużo miejsca.

Ażeby można taki obfity numer co miesiąc wysyłać, trzeba by każda z abonentek pozyskała jeszcze jedną czytelniczkę.

Członkinie Oddziału w Mońkach. Jest was 660 jak piszecie. Czy nie pięknie było by, gdyby choć połowa abonowała Gazetę i w domu przy pracy ją czytywała?

Na zebraniu plenarnym nie zdąży się pewnie przeczytać i Gazety dla Kobiet i Zjednoczenia.

Abonament roczny dla członków K. S. K. pojedyńczo wraz z przesyłką pocztową . . . . 2.00 zł. Telefon nr. 28-07.
Abonament wspólny dla członków K. S. K. przez oddział od 10 egz. rocznie 1.80 zł. Konto P. K. O. 206 255

Wydawca: Katolicki Związek Kobiet w Poznaniu. Za redakcję: Zofia Sicińska. Adres redakcji: Gazeta dla Kobiet, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22. Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, tłoczono na papierze z własnej fabryki „Malta".